

Mały pisarczyk z Małoszyc (2)

(Dokończenie ze strony 3)

Księgi Hioba i wykonał ją czysto i wysoko jak diuk cerkiewny. Pamiętam dotąd brzmienie jego głosu. Znowu po pewnym czasie, gdy już byłem kandydatem na członka ZLP, w 1991 roku, po wydaniu swojego debiutanckiego tomiku wierszy „Objęcie”, postanowiłem, zgodnie z podszepem Michała Łukasiewicza, dziennikarza „Nowych Książek”, napisać list do Czesława Miłosza. Tak posłałem mu z tym listem swój nowo wydany zbiór poetycki. Jakież było moje zdumienie, że niebawem otrzymałem awizo celem przybycia na pocztę. A na poczcie wręczono mi list od Miłosza. W pierwszej chwili, gdy z dała ujrzałem na kopercie adres: Czesław Miłosz, Berkeley itd., byłem zaskoczony. Żeby nieznanemu poetą doznać takiego wyróżnienia? Wiedziałem, że zostałem uratowany. Pierwszy polski poeta współczesności traktuje mnie jako partnera, a więc i zasługującego na uwagę poetę? Niosłem ten list do domu jak talizman. Po jego otworzeniu dowiedziałem się, że pretekstem do jego napisania mogły dostarczyć trzy sprawy: fakt urodzenia się w Małoszycach, fakt przesłania wierszy i fakt uprawiania przez mnie krytyki literackiej. Pierwsza okoliczność wypływała z faktu urodzenia się w Małoszycach (niestety, innych niż moje) Witolda Gombrowicza. Ten był cenionym przez Miłosza twórcą, a gdy zważyć, że parałem się krytyką literacką, mógłbym – jak zaznaczył w liście Miłosz – napisać coś o podwarszawskiej wsi rodzinnej Gombrowicza.

Natomiast do wierszy poeta odniósł się powściągliwie. Pochwalił utwór „Motyl” napisany przez mnie jeszcze w 1975 roku, a przyganił inne, zwłaszcza za rozpyływanie się obrazów wykorzystanych w tych utworach. Nie ze wszystkim się zgadzałem, bo pewne teksty były świadomie skomplikowane aż nieczytelne prawie, bo miały osnowę psychiatryczną, a z tej nawet kliniczną. Tym niemniej ten list pocieszył mnie i dodał mi pewności siebie. Od tej pory uważałem siebie za prawdziwego poetę. Niedługo później, a czas liczę na lata, nie na miesiące, dowiedziałem się, że do Warszawy przyjeżdża powtórnie Czesław Miłosz i że będzie miał występ w Domu Literatury. Spotkanie organizowało Stowarzyszenie Pisarzy Polskich, zatem rad nie rad, poszedłem do oddziału warszawskiego tej organizacji i poprosiłem o kartę wstępu na nie. Usłużna pani po moich wyjaśnieniach wręczyła mi ją. W któreś popołudnie roku 1994 przyszedłem do auli Domu Literatury i wmieszałem się w tłum zaproszonych gości. Byli panowie

odświętnie ubrani, panie w wieczorowych sukniach, była telewizja. Atmosfera panowała tym razem uroczysta i nie tak rzeczowa jak przed laty w „Stodole”. Na spotkaniu Czesław Miłosz mówił o swojej twórczości, czytał wiersze, a później oddał głos obecnym. Prosił, by zadawano pytania. Padały takie i z prawa sali i z lewa, dopóki nie zepsuł się mikrofon. Teraz nastrój stał się nerwowy. Wielu zabierało głos i prawie wszyscy otrzymywali wystarczającą odpowiedź. Nie wspominam tu o treści tych pytań, bo całe spotkanie opisałem w innym miejscu. Dodam tylko, że dyskusja była żywiołowa i otwarta, i z jej przebiegu dowiedziałem się jak wielkim umysłem jest Miłosz. Mówił o Litwie, o USA, o Polsce, i o swoich wierszach. Na koniec chciał podpisywać swoje książki, lecz tylko ja jako jeden z pierwszych otrzymałem autograf, bo potem odszedł od stolika. Mnie podpisał (bez daty) powieść „Dolina Issy”, sfilmowaną przez naszą telewizję i oglądany przeze mnie później.

A kiedy z tą książką znalazłem się przy szatni, ku mojemu zdziwieniu, wparował na mnie sam poeta, obstawiony przez siły porządkowe. Zapinałem już palto, gdy Miłosz się zbliżał. Zagadnąłem, czy pamięta przesłany przez mnie list i tomik wierszy. Miłosz coś krzyknął, ja jeszcze głośniej – i nie dogadaliśmy się. Opuściłem szatnię, żeby zrobić miejsce poecie. A teraz dziwnie mnie ogarniał, że w tak trudnym momencie zawracałem błahostką jego uwagę.

Przypominam sobie list od Anny Wernercowej, w którym ta zaliła się, że chciała w Krakowie wręczyć mu tom wierszy, lecz on ich chyba nie wziął, bo wyrzekł zdanie, że wierszy nie czyta. No cóż, nie mógł odpędzić się od nadmiaru początkujących poetów i grafomanów. Tym bardziej ceniłem sobie jego list.

Wieczorem tego dnia, a raczej nazajutrz, obejrzałem sprawozdanie telewizyjne z wieczoru Miłosza w Domu Literatury. Ze mną oglądała program żona, lecz kiedy mnie ujrzała na ekranie, dysputującego z poetą, nic nie powiedziała. Nie wiem, czy wypadłem dobrze czy źle, ale miałem satysfakcję, że widziałem poetę, rozmawiałem z nim i wymieniałem listy. Teraz śledziłem Miłosza na odległość. Co pewien czas odwiedzał Polskę, aż w końcu w niej zamieszkał.

Żył w Krakowie, uczestniczył w życiu kulturalnym miasta. Pewnego razu występował w telewizji na żywo. Widziała to moja mama i stwierdziła, choć była prostą kobietą, że Miłosza ceni za odwagę, otwartość, bezkompromisowość. Mamie podobał się też on jako mężczyzna: o wyrazistych rysach, krzaczastych brwiach i odważnym spojrzeniu. Wiedziałem, że moja mama ma gust. Uplłynęło znowu sporo czasu i dotarła do mnie wiadomość, że Czesław Miłosz zmarł. Obserwowałem teraz targi wokół pochówku poety. Jedni

mówili, że spocznie na Wawelu, inni że na Skałce, a byli i tacy, którzy mówili, że spocznie w Wilnie (na Rossie). Ostatecznie został pochowany na Skałce, podobno na miejscu kupionym za własne pieniądze.

Nie oszczędzały plotki Miłosza. Było to tym dziwniejsze, że ten wybitny twórca nie pozostawiał niedomówień i wykazywał szczere intencje. Najbardziej kontrowersyjną sprawą w jego poglądach była sprawa patriotyzmu. Podobno był bardziej Litwinem niż Polakiem, a ja sądzę, że był w tym samym stopniu Litwinem co Mickiewicz, a nawet w większym stopniu niż Mickiewicz Polakiem, bo mieszkał w Polsce, dla niej pisał i ją sobie obrał na wieczny spoczynek. Jego twórczość promieniowała na całą epokę współczesną i przyłożyła się do powstania nowego, wolnego kraju, znacząc więcej niż broń. Działacz narodowy Zygmunt Przetakiewicz, na słowo „kultura” odbezpieczał broń i miał rację.

- Miłosz miał wielu przeciwników, ale największego – zwłaszcza pod koniec życia – w Zbigniewie Herbercie. Nie umieściłeś tych obu sylwetek w swojej książce „Spotkania”. Czy kiedykolwiek zetknąłeś się z Herbertem?

- O Zbigniewie Herbercie dużo dobrze słyszałem na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim, gdzie w latach pięćdziesiątych wystawiano jego dramat „Jaskinia filozofów”. Uczelnia była wtedy rozpolitykowana i toczono na niej zażyłe dyskusje filozoficzne. Dlatego ten dramat chwycił. Miałem dobre mniemanie o pisarzu.

Jakież było moje zdziwienie, gdy podczas wywiadu z Krzysztofem Gąsiorowskim usłyszałem słowa, że Herbert to „drobny pijaczek”. Zgorzyłem się, nie taję. Herbert był ciągle dla mnie mistrzem.

Kiedy wydałem swój zbiór wierszy pt. „Objęcie”, w 1991 roku, za namową redaktora „Nowych Książek”, poety, napisałem między innymi list do Zbigniewa Herberta. Ten nie odpowiedział mi na niego. Nie wiedziałem dlaczego. Dopiero długo później, gdy porządkowano papiery po jego śmierci, pewien naukowiec zadzwonił do mnie z pytaniem czy posiadam list od Herberta? Odpowiedziałem, że nie. Dowiedziałem się, że ten poeta zapisał na tomiku „Objęcie” mój adres, chyba z zamiarem odpisania. Co go przed tym powstrzymało? Trudno powiedzieć. Szkoda, że tak się nie stało, choć los sprawił, że bliższy stał mi się Miłosz, który odpisał na mój list. Jako uczeń rzeczywiście widzę w Miłoszu większego nauczyciela niż w Herbercie.

cdn.

